OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

GAZETKA MIKI

ROK I. NR 3
DNIA 1 STYCZNIA 1939

TYGODNIK

CENA 40 GROSZY



ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PĘDZIWIATR



Towarzyszka podróży

Staszek nagle spostrzegł, że nie jest sam. Na skrzydle latawca siedziała jaskółka. Mała, zmęczona i trzęsąca się z zimna. Piórka jej były całkiem mokre. Gdy Staszek zauważył jej obecność, spytała bardzo grzecznym tonem:

— Czy pan pozwoli, że posiedzę sobie chwileczkę i wypocznę? Ledwie żywa jestem. Niewiele ważę i miejsca tak dużo nie zabiorę. Najmocniej przepraszam pana, ale taka okropna pogoda! Nie wypędzi mnie pan, prawda?

— Ma się rozumieć, że nie! Mowy nie ma! Jakżebym mógł! Z największą przyjemnością! A może pani będzie wygodniej wejść pod skrzydła latawca albo usiąść mi na ramieniu?

— O, nie chcę robić sobą kłopotu... Może ja się mylę, ale pan ma katar... Widzę, że panu wystaje z kieszeni chusteczka, pozwoli więc pan, że jako osoba starsza... Mogłabym być pańską matką! — To mówiąc, jaskółka bardzo zręcznie wyciągnęła z kieszeni Staszka chustkę i wytarła mu nos. — Pan nie ma wolnych rąk, zatem...

— Dziękuję! Bardzo dziękuję! — rzekł Staszek, zawstydzony niezmiernie.

— Nie ma za co! Bagatelka, o której szkoda gadać!... O czym to mówiliśmy? Aha! O pogodzie! Zazwyczaj wybieram się na południe znacznie wcześniej. Dla poratowania zdrowia... Ale teraz tak jakoś zasiedziałam się a tu już koniec września! Tyle sprawunków, trzeba jeszcze załatwić to i tamto, jak zwykle przed podróżą, pan rozumie?

— Tak! — odpowiedział Staszek, chociaż jeszcze nigdy w życiu nie podróżował. Raz tylko jeden był z ciotką w Tarnowie.

Jaskółka tymczasem mówiła dalej. Dzióbek jej się nie zamykał ani na chwilę.

— Takiej strasznej burzy, jak dzisiaj, najstarsze jaskółki nie pamiętają, choć za moich młodych lat bywały także burze, aż hej! Lecimy dziesięć razy prędzej niż zwykle. To już nie jest wiatr, ale huragan, który robi przynajmniej ze dwadzieścia pięć metrów na sekundę. Gna bez opamiętania! Matko Boska, ani się opatrzyłam i pod nami Budapeszt!

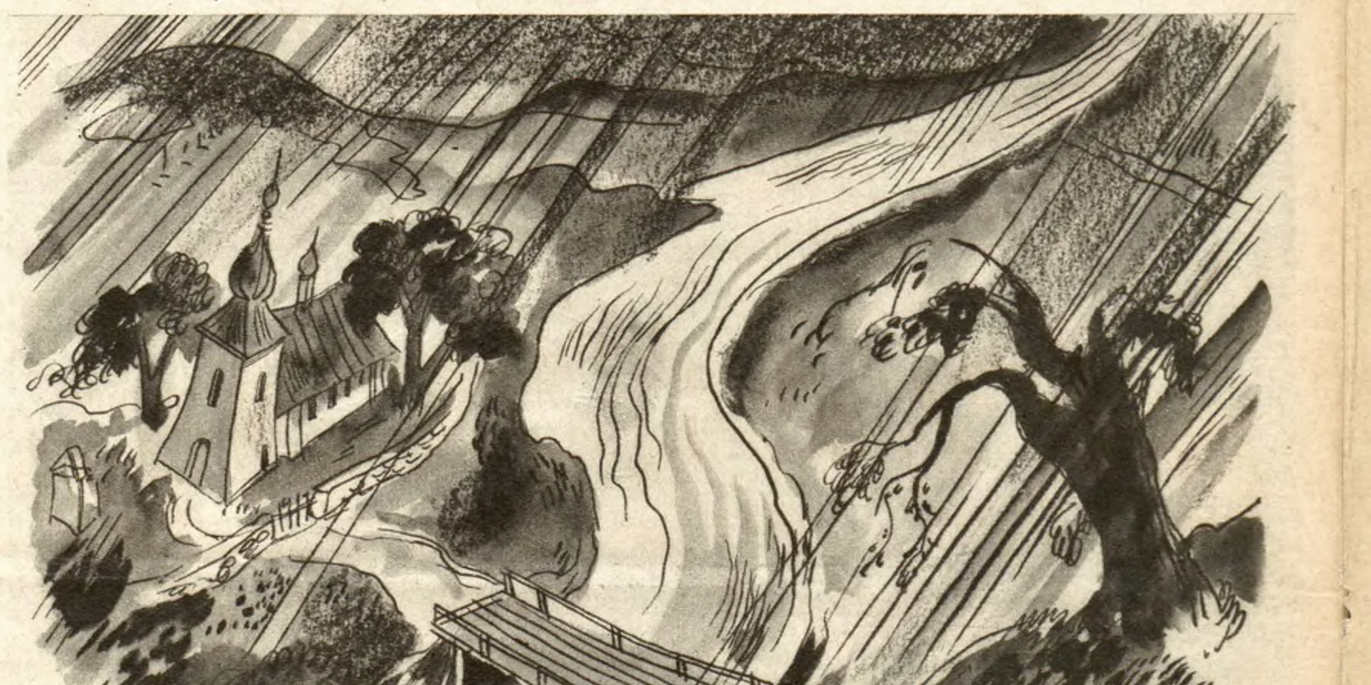
Staszek słyszał już coś o Budapeszcie, poprosił więc jaskółkę, aby mu pokazała to miasto.

— O, tu na lewo, widzi pan? Ale dzisiaj jest mgła! Szkoda, bo to piękne miasto. Widać, niestety, zaledwie Dunaj... Znam tę drogę na pamięć! W ostatnich latach zdarzyło mi się kilka razy, że przelatywał tędy wielki Junkers i mogłam przysiąść się. A temu dwa lata skorzystałam ze sposobności, aby przejechać się na polskim szybowcu. O, bardzo miły był ten młody pan! Sterował świetnie! Ubawiłam się z nim po drodze! Wylądowaliśmy w samym centrum Budapesztu, bo pod parlamentem... Jakież tam było zbiegowisko! Zeszłego znowuż roku zobaczyłam Loockheada i to polskiego Loockheada,

— O, nie zapomnę tego pana! Cóż za grubianin! Nawet nie wiem, jakiej był narodowości... Co innego w Wiedniu! Byłam tam kilka razy w przejeździe do Włoch, jeszcze z nieboszczykiem mężem, Panie, świeć nad jego duszą! Bardzo miłe miasto! Gdy niespodzianie przyjdzie pierwszy mróz, pomagają nam wszyscy. Jest takie towarzystwo, które zbiera osłabłe czy zmarzłe jaskółki, wynajmuje dla nich specjalnie duży, wygodny aeroplan i wysyła do Wenecji. Zaraz poznać kulturę! Ci ludzie wiedzą, co się nam, jaskółkom, należy!

— Tak, słyszałem o tym. Nauczyciel opowiadał nam niedawno w szkole.

— Tylko, że to niewygodnie w takim ścisku! I czasem zetknąć się tam można z towarzystwem bardzo, bardzo nieodpowiednim. Boże, kogo się tam nie spotyka! Byle jakaś jaskółka dymówka czy nawet brzegówka chce być pierwsza z brzegu. Ja, bo jestem z oknówek! Trzeba panu wiedzieć, że to bardzo znana i dobra rodzina. Pewnie pan słyszał?



który z Warszawy leciał do Aten, więc przysiadłam się a jakiś pan, widząc mnie powiada na cały głos: »O patrzcie państwo, nawet jaskółka jedzie bez biletu! Na gapę!« Wstydu się najadłam! Wszyscy zaczęli się śmiać i było mi bardzo, bardzo nieprzyjemnie. Od tej pory wolę już nie narażać się na impertynencje. Ludzie nie mają najmniejszego szacunku dla wieku... O, pan dostał porządnego kataru! Proszę się nic nie żenować! Mogłabym być pańską matką!

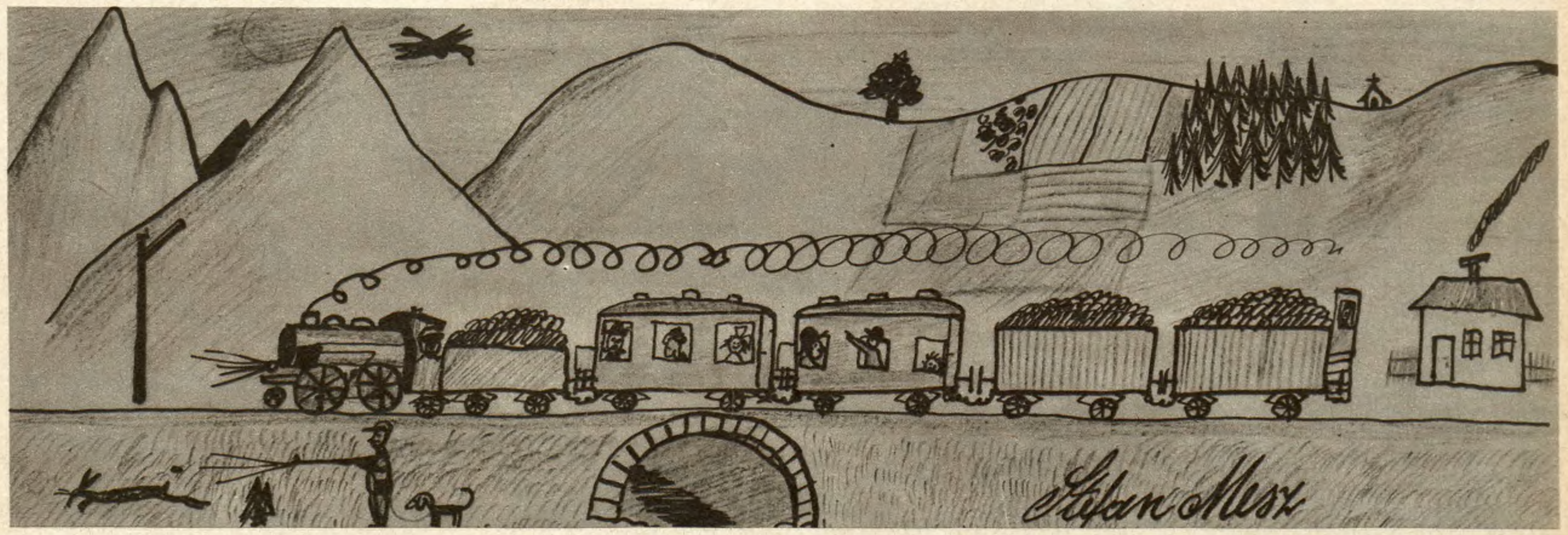
Znowuż zaczęła manewrować zręcznie chusteczką, a Staszek oblał się pąsem ze wstydu. Pod ziemię by się zapadł, gdyby to tylko było możliwe!

— Nie, proszę pani.

— To dziwne! — zamilkła na chwilę urażona, ale długo nie mogła wytrzymać bez rozmowy.— Otóż zazwyczaj lecę sama, żeby nie być nikomu ciężarem. Zresztą dzisiaj na taki psi czas nie wystartował chyba ani jeden aeroplan. Okropna aura! Wrony by nie wypędził... Naprawdę szczęśliwym jakimś trafem spotkałam pana i pan był tak uprzejmy... Zaraz poznać dobre wychowanie!

— Och, nie ma o czym mówić. Doprawdy drobiazg, proszę pani! Zresztą przyjemniej we dwójkę!

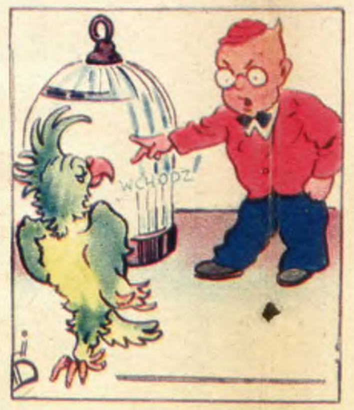
(d. c. n.)







Historia niedługa — Marek i papuga.

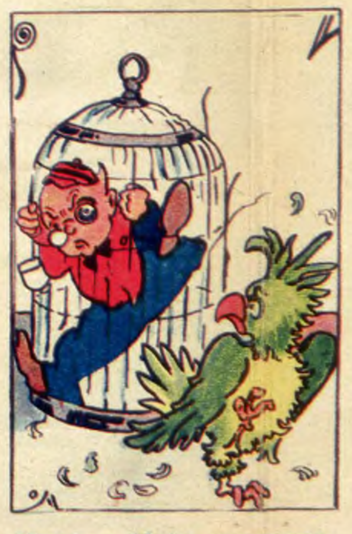


Chcąc papugę w klatkę
[wsadzić
nie mógł Marek nic
[poradzić.
Bo papuga, chcecie
[wiedzieć,
za nic nie chce w klatce
[siedzieć.



Wyrywa się z wrzaskiem,
[z piskiem,
co tu zrobić z tym pta-
[szyskiem?
Górą, dołem, dołem, górą
leci pierze wielką chmurą.

— Nie dam ci się, nie dam,
[bratku!
I co wyszło na ostatku!



Marek w klatce, a papuga
śmieje się i oczkiem mruga.





M/S „WICTORIA" płonie!

NAPISAŁ · JANUSZ · MEISSNER



O dwunastej czterdzieści pięć inżynierowi Martenowi, który był drugim mechanikiem »Wictorii« udało się po nadludzkich wysiłkach przerwać dopływ ropy do zniszczonych przewodów. Dwaj ludzie przypłacili życiem ten bohaterski czyn zespołu monterów. Czterej zostali ciężko poparzeni mimo ognioodpornych ubrań z tkaniny azbestowej.

— Jeżeli ściany trzech zbiorników rozdzielczych obok hali maszyn wytrzymają ciśnienie rozgrzanej ropy, może przetrwamy te dwadzieścia godzin — powiedział drugi mechanik składając raport kapitanowi.

Smith zapytał o wielkie gaśnice pianowe:

— Dlaczego ich dotąd nie użyto?

Inżynier Marten wzruszył ramionami.

— Nie można się do nich dostać. Były umieszczone w maszynowni i przy najbliższych zbiornikach. Prawdopodobnie zresztą wyleciały w powietrze podczas wybuchu. Wszystkie małe gaśnice ręczne już zużyto. Ale przecież pan kapitan rozumie: to tak, jakby kto wiadrem wody chciał zalać wulkan.

Tymczasem sztorm rósł. »Wictoria« dryfowała skośnie do fali, która pod naporem wichru wspinała się na dolne pokłady i wpadała do rozwalonego kadłuba, wywołując gejzery ognia i pary, buchające z rozpalonego wnętrza. Płonąca ropa wypryskiwała w spienione morze i rozlewała się szeroko u podwietrznej burty. Statek kołysał się silnie i ogień raz po raz przerzucał się z krateru maszynowni na pobliskie pomieszczenia. To tu, to tam powstawały alarmy: w ładowniach, w składach, w korytarzach pierwszego i drugiego piętra.

Nagle o godzinie trzynastej pękł jeden z trzech zbiorników umieszczonych tuż za motorami. Ropa trysnęła na pokłady, polała się strumieniami na dno statku, zaczęła przenikać przez wytopione przegrody.

Z radiostacji »Wictorii« poleciały w przestrzeń rozpaczliwe depesze:

»SOS. Giniemy. Wictoria płonie. Jeżeli w ciągu najbliższych godzin nie nadejdzie pomoc, pożar obejmie cały statek. Potrzebujemy koniecznie środków chemicznych do gaszenia ropy. Sztorm wzrasta. Szybkość wiatru obecnie 20 metrów na sekundę«.

Plichta od pół godziny »wisiał« przy telefonie głównego urzędu pocztowego Los Angeles i rozmawiał z towarzystwem okrętowym Pacific-Lines w San Francisco. Był wściekły: tym ludziom trzeba było wszystko tłumaczyć jak dzieciom. Klął głośno i groził, że »plunie na całą tę sprawę« jeśli natychmiast nie zgodzą się na jego warunki.

— Pańskie warunki są jednak bardzo dziwaczne — odpowiedziano mu znowu.

— To już moja sprawa, do stu diabłów! — ryknął. — Chcę uratować waszą »Wictorię«. Nie będę opowiadał jak. Ale muszę mieć od was kredyt na pięćset kilogramów środków przeciwogniowych. Zatelefonujcie do firmy G. R. Fellow, żeby mi na wasz rachunek wydali tę ilość »Antiflamu«. To jedno. Po wtóre — muszę wiedzieć, czy na »Wictorii« jest aparat do zdjęć filmowych, taśma i operator. Inaczej nie polecę. A teraz — czekam jeszcze pół godziny na odpowiedź. Tymczasem żegnam panów.

Odłożył słuchawkę i rzucił się na fotel obok Mahona, który z filozoficznym spokojem puszczał kółka dymu z cygara.

— Porozumiałeś się z lotniskiem? — zapytał.

— Uhm — mruknął Migawka.

— Maszyna gotowa?

— Uhm.

— Spadochron?

— Uhm.

— Nie można powiedzieć, żebyś był gadatliwy.

— Uhm — potwierdził spokojnie Migawka. — Nie można.

Zamilkli. Plichta palił jednego papierosa po drugim. Jego wspólnik zgasił cygaro i zaczął żuć gumę, patrząc swoim zwyczajem na sufit.

Minęło piętnaście minut. Potem dwadzieścia. Nagle zadzwonił telefon.

— San Francisco prosi pana Plichtę — powiedziała telefonistka.

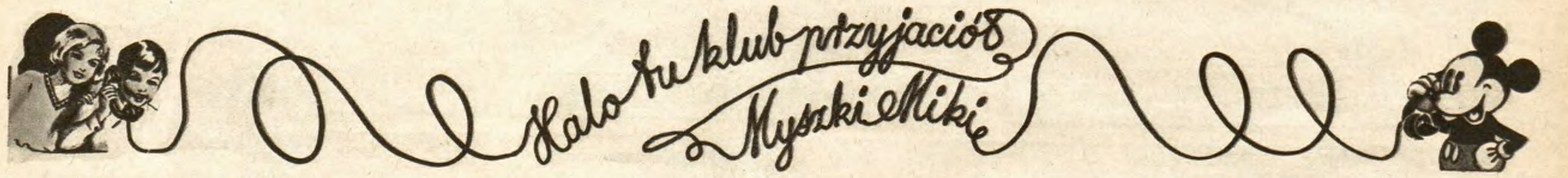
— Jestem — rzekł Adam.

Dyrekcja Pacific-Lines oświadczyła, że firma G. R. Fellow ma już odpowiednie instrukcje co do »Antiflamu«. Kapitan »Wictorii« odpowiedział drogą radiotelegraficzną, że wprawdzie ma na pokładzie operatora filmowego z aparatem, ale brak mu taśmy. W dodatku ów operator uległ ciężkiemu poparzeniu, znalazłszy się przypadkiem w pobliżu miejsca wybuchu ropy.

— Dobrze — odrzekł Plichta. — Niech aparat będzie u kapitana. Najdalej za cztery godziny dostarczę »Wictorii« pięćset kilogramów »Antiflamu«.

— O ile nas przedtem obu diabli nie wezmą — mruknął Migawka naciskając na oczy sportową czapkę.

(d. c. n.)



NAJWIĘKSZE OKO ŚWIATA



Na podanej ilustracji widzicie olbrzymią soczewkę, przez którą uczeni będą oglądali niebo. Wykonano ją w wielkich wytwórniach szkła w Corning (Stan New York). Olbrzymie to oko waży dwadzieścia ton. Prace nad soczewką trwały cztery lata, a złożyło się na nią aż dwieście poszczególnych części.

Lecz wielki wysiłek posunie naukę naprzód. Przez taką soczewkę można będzie dostrzec na ciałach niebieskich wiele rzeczy, przez całe wieki ukrytych dla oczu zwykłych ludzi. Kto wie, co dostrzegą uczeni na gwiazdach i planetach?

W krótkim już czasie soczewka-olbrzym zostanie przewieziona do Instytutu Technologicznego w Kalifornii. Stąd po ostatecznym sprawdzeniu znajdzie się ona na najwyższej w Północnej Kalifornii górze Palomar w nowym, specjalnie w tym celu wzniesionym, obserwatorium.

Drodzy przyjaciele i czytelnicy!

Przede wszystkim muszę wam złożyć najserdeczniejsze życzenia noworoczne. Nie tylko ja, Wasza Myszka Miki, ale wszyscy moi krewniacy i współpracownicy. Horacy Chomąto rży bardzo przyjaźnie i woła, że on szczególnie życzy wam takiego zdrowia, jakim sam się szczyci — (wiadomo, co to znaczy końskie zdrowie). Kaczorek-Zadziorek znów prosi, żebym napisał (ale to koniecznie!), że życzy wam wielu wesołych przygód, właśnie takich, za jakimi sam przepada.

Liszka Wszędobylska prosi, żeby i o niej pamiętać. A ona chce powiedzieć, że lubi wiedzieć co się dzieje na świecie. Bardzo z niej ciekawa osoba (potrafi słyszeć jak trawa rośnie). I słusznie, bo ciekawość to wcale nie pierwszy stopień do piekła, ale także i do wiedzy. Liszka nie lubi prawić morałów, więc tylko w tak delikatny sposób życzy Wam powodzenia w nauce...

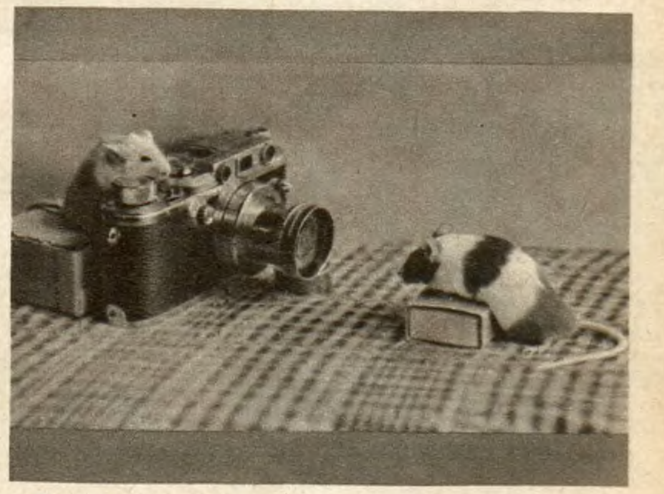
Piesek Pluto radzi znów, żebyście zdobywali sobie serce młodszych przyjaciół. Już kto jak kto, ale właśnie ta „Kurza niania" ma prawo Wam tego życzyć. Bo czyż nie ślicznie opiekowała się malutkimi, żółciutkimi kurczętami?

Klara Ryczułko zwraca uwagę, że np. piosenki bardzo dobrze wpływają na miłe usposobienie. Cóż Wam to szkodzi, śpiewajcie jak najwięcej przez calutki, nowy rok.

Więc krótko:

zdrowia, szczęścia, pomyślności —
życzy Wasz Miki

Proszę o przyjemny wyraz twarzy!



A oto dwie świnki morskie postanowiły uwiecznić się na kliszy. Cóż, zdarza się to i w rodzie gryzoniów. Może taki portret będzie zdobił ścianę mysiego mieszkania? Teraz przesłały go nam miłe gryzonie do naszej redakcji, bo całkiem słusznie uważają Myszkę Miki za swego krewniaka.

— Proszę wyprostować lewe uszko! — woła fotograf.

— Ach, jaka to męcząca rzecz to pozowanie — narzeka klientka.

— Nic, nic! Jeszcze tylko chwilka cierpliwości, ale za to zdjęcie wyjdzie znakomicie. Teraz proszę o szczególnie miły wyraz twarzy. Pstryk! Gotowe...

Teraz znów klientka musi się słać fotografem, bo jak się okazało nie zabrała z sobą trzech ziarnek pszenicy. A taka jest taksa w tym osobliwym zakładzie za zdjęcie naturalnej wielkości.

W poszukiwaniu pracy

GUSTAW MORCINEK

Za Olzą



Karel Bohač miał szczęście.

Inni jego rówieśnicy z czeskiej i polskiej szkoły czekali przez kilka lat, zanim udało im się uzyskać pracę. I nawet ta praca była nieszczególna. Każdy z nich marzył o kopalni, o zawodzie górnika, a tymczasem zdołali z wielkim trudem uczepić się jakiejś podrzędnej firmy. Pracowali więc jako nadziemnicy przy kopaniu ziemi, przy murarzach, przy budowie koksowych pieców, a wielu z nich czuło się szczęśliwymi, jeżeli zarobili chociażby kilkadziesiąt koron na miesiąc. Poza tym była to praca sezonowa, w okresie letnim. W zimie zaś było trzeba głodować i wystawać godzinami przed bramą kopalni, by się w końcu dowiedzieć, że nie ma dla nich pracy.

— A dlaczego? — pytali rozgoryczeni.

— Pracy jest mało, a ta, którą mamy, to przeznaczona dla naszych ludzi! — tłumaczył im jeden i drugi urzędnik kopalniany.

— Kto to są ci wasi ludzie? — pytali znowu chłopcy.

— Rdzenni Czesi! — padała szorstka odpowiedź i ciężka brama zatrzaskiwała się przed zziębniętymi i głodnymi chłopcami.

— Ja przecież chodziłem do czeskiej szkoły! — wołał jeszcze jeden i drugi z rozpaczą.

— Uciekajcie, bo poślę po żandarmów! — odpowiadał im przez ciężką kratę bramy odchodzący urzędnik.

Zaciskały się drobne pięści, zaciskały się usta, a serca ich sycił piołun.

— To tak!... — myśleli z goryczą. — To na Śląsk sprowadza się robotników i urzędników z całej Czechosłowacji, ludzi obcych, przybłędów, a nam grożą żandarmami! O niedoczekanie wasze!...

Czasem taki urzędnik posiadał tkliwsze serce i wtedy stawał za kratą zatrzaśniętej bramy i radził im dobrotliwie, co by powinni uczynić, by uzyskać pracę.

— Że ukończyliście czeską szkołę, to jeszcze nic! — tłumaczył. — Wstąpcie do czeskiego »Sokola«, wstąpcie do »Maticy Osvety Lidovej«, do »Narodniho Sdruženi«, przynieście poświadczenie, to może da się coś zrobić!... My tu potrzebujemy ludzi naszych, zaufania godnych... No, uciekajcie, bo tu nic nie wystoicie!

Chłopcy często tak robili. Zgłaszali się do czeskich towarzystw narodowych, zapisywali się na ich członków, pozwalali sobie zmieniać swoje polskie nazwiska na czeskie i znowu żebrali u bramy kopalni o pracę. W zsiniałych dłoniach trzymali zaświadczenia czeskich towarzystw, że są ich członkami, że są dobrymi Czechami, i karteczkami tymi machali przed oczami urzędnika.

— Głodny jestem! — skamlali jedni.

— Nie mam się w co ubrać! — narzekali inni.

— W domu nie mamy co jeść!... Ojciec bez pracy!... Dajcie nam pracę!... — prosili jeszcze inni patrząc błagalnie w obojętne oczy urzędnika.

Urzędnik wpuszczał wszystkich na podwórze pozbierał od nich zaświadczenia, pozbierał adresy i kazał przyjść za tydzień. W ciągu tygodnia zaś zarząd kopalni zastanawiał się, komu dać pracę. Dowiadywano się, czy ojciec lub matka takiego chłopca należą również do czeskich związków narodowych, od jak dawna, czy przedtem należeli do polskich towarzystw, czy występowali kiedykolwiek jako zdecydowani Polacy, a jeżeli taki wywiad wypadł niepomyślnie, odprawiano chłopca z kwitkiem.

— Nie ma dla ciebie pracy!... Idź sobie do Polski za pracą!... — mawiano. A gdy chłopcy nie ustępowali, tłumaczono im dobitniej:

— Nie możemy cię przyjąć do pracy! My potrzebujemy ludzi zaufanych, naszych, Czechów... Nie ma dla ciebie pracy!... Idź sobie do Polski!... Twój ojciec był kiedyś zażartym Polakiem!... No, idź, idź!.. — i wypychano nieszczęśnika za drzwi.

Niewielu było takich, którym uśmiechnęło się szczęście. Do nich należał również Karel Bohač. Lecz musiał przynieść zaświadczenie, że jest członkiem czeskiego »Sokola« i »Narodniho Sdruženi«.

Ojciec jego gryzł się tym wszystkim, lecz cóż miał zrobić. Koledzy jego gardzili nim, odwracali się do niego plecami gdy koło nich przechodził, niektórzy nawet spluwali przed nim, wymyślali mu mocno, a on zaciskał usta i pragnął zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Lecz cóż, kiedy głód był większy, aniżeli uczucie wstydu. W domu żona dogorywała trawiona suchotami, córka Hanka również chorowała na suchoty, a troje dzieci nieletnich trzeba było nakarmić i przyodziać. A tu przecież w ciągu tygodnia na wszystkich kopalniach pracowano tylko dwa lub trzy dni. Resztę dni świętowano, bo »nie było zbytu na węgiel« — jak tłumaczyła dyrekcja każdej kopalni.

— Więc daj się, synku, zapisać do tego czeskiego »Sokola«, jak chcą Czesi na kopalni!... — radził zmartwiony ojciec. — Już i tak najadłem się wstydu, że cię posyłałem do czeskiej szkoły i że zmieniłem nazwisko!... Lecz, czy mamy kamienie żreć? — wybuchnął. — No, idź, idź... — rzekł jeszcze i popadł w ciężką zadumę.

I tak powiedział za dużo. Ojciec był bowiem mrukiem, zamkniętym w sobie, wiecznie zamyślonym i ponurym człowiekiem. Zwłaszcza od tamtej chwili kiedy stary Sobol, jego najmilszy towarzysz spotkał go na drodze, popatrzył mu w oczy i zapytał:

— Ty, Janek... jest to prawda, że posyłasz swojego chłopca do czeskiej szkoły?

— Bo co? — zapytał hardo Bogacz.

— Z trzeciej polskiej klasy przepisałeś go do czwartej klasy w czeskiej szkole? Tak czy nie?

— A co cię to obchodzi? Przepisałem...

— Ty... renegacie! — warknął wtedy jego najmilszy towarzysz i splunął mu z pogardą pod nogi. Potem się odwrócił i poszedł.

(d. c. n.)

ZAGADKI · FIGLIKI · WYMYŚLIŁ · SAM · MIKI

ZGADNIJ W JAKIM PAŃSTWIE MIESZKAJĄ?

AGA STAN. FIN

PANI IZA H. S.

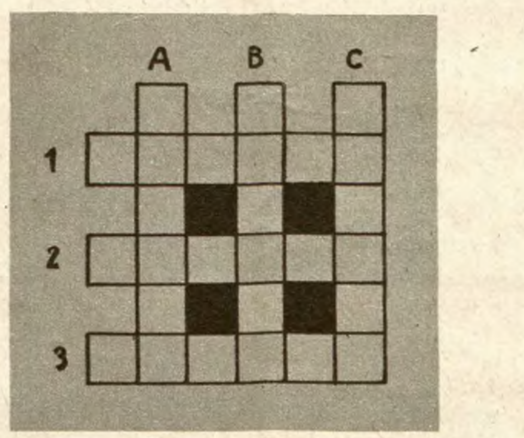
ZAGADKA

Chodzi, chodzi
gruby trębacz.
Cienką trąbę
trzyma w zębach.
Z jednej strony ząb,
z drugiej strony ząb.
Chodzi grubas,
sapie, fuka,
ale sapać to nie sztuka.
Masz trąbę, to trąb!

SZARADA

Pierwsza upleciona z łozy,
można w nią zakupy włożyć,
można więcej, można mniej,
ale zawsze tyle zmieści,
że cztery litery treści
zawsze łatwo znajdziesz w niej.
Druga ma litery dwie,
ale każdy o tym wie,
że w tych małych dwóch literach
dużo miodu się zawiera.
Trzecią łatwo odnajdziecie
na początku w alfabecie.
Gdy się z części złoży **cała,**
to z przysłowia jest wam znana,
że jest znacznie bliższa ciała
niż sukmana.

UKŁADANKA



W podane kratki wpisać trzy wyrazy tak, aby każdy wyraz czytał się poziomo i pionowo odpowiednio w rzędach 1A, 2B, 3C.

Znaczenie wyrazów: 1 — warzywo, 2 — imię króla Norwegii, 3 — narzędzie ślusarskie.

ŁAMIGŁÓWKA

a, a, 1, 2, 3. Na początku mamy dwie jednakowe samogłoski, a 1, 2, 3 — oznaczają trzy różne spółgłoski. Jakie to są spółgłoski, jeśli wyraz napisany tak:

1, a, 2, 3, a

świeci?

Napisany tak:

3, a, 1, 2, a

rośnie na brzegu pustyni. A napisany tak:

3, 1, a, 2, a

szpeci ubranie i trzeba je czyścić.

ROZWIĄZANIE z Nr-u 2

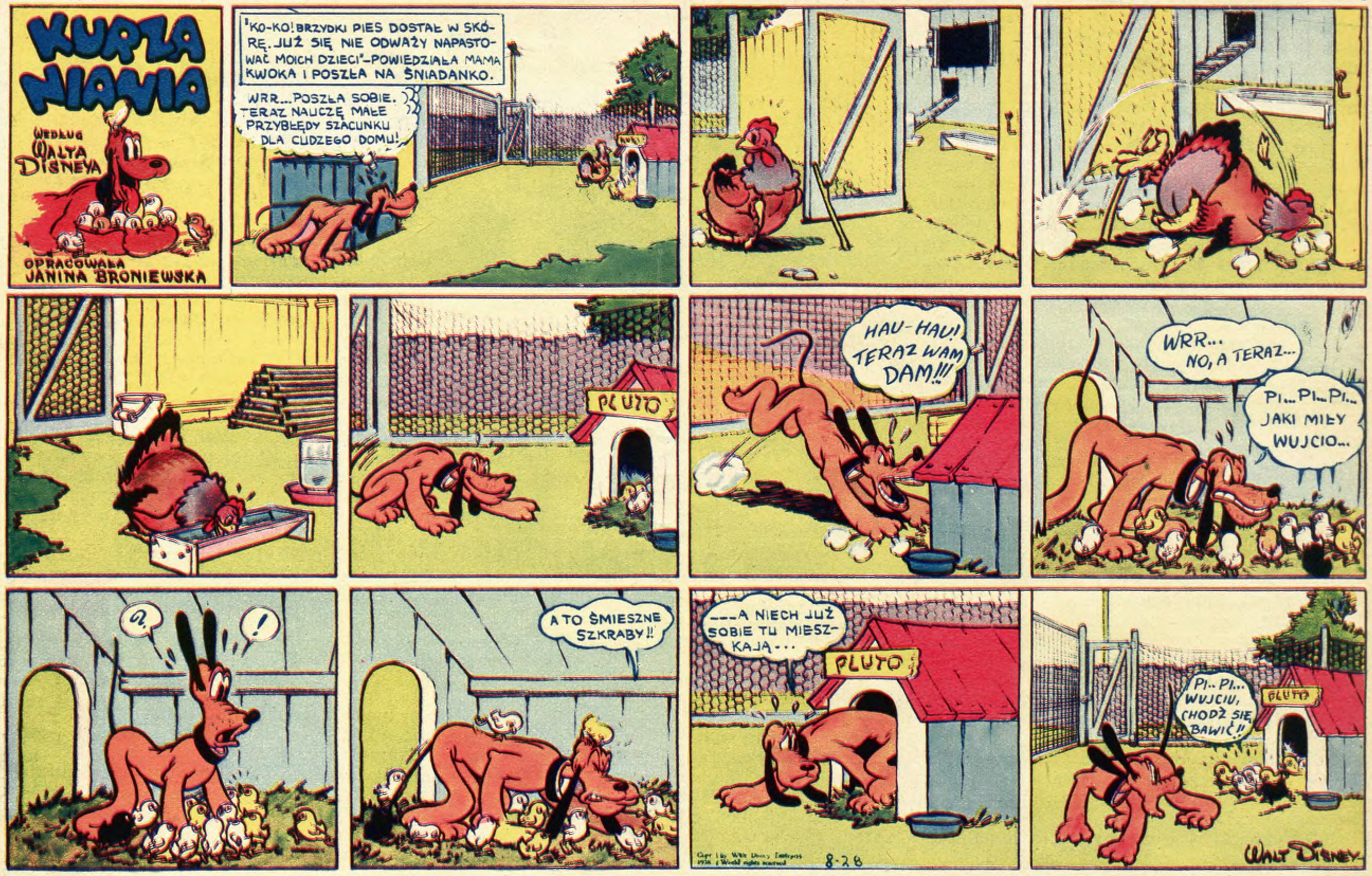
Zagadka 1: kruk, bruk, mruk, druk; **zagadka 2:** babcia, dwie jej córki, dwie córki dwóch córek poprzednich = 5 osób. **Szarada 1:** piosenka; **szarada 2:** Kraków. **Rebus:** palma kokosowa. A tak się dały ułożyć poprzednie wycinki w kwadrat magiczny:

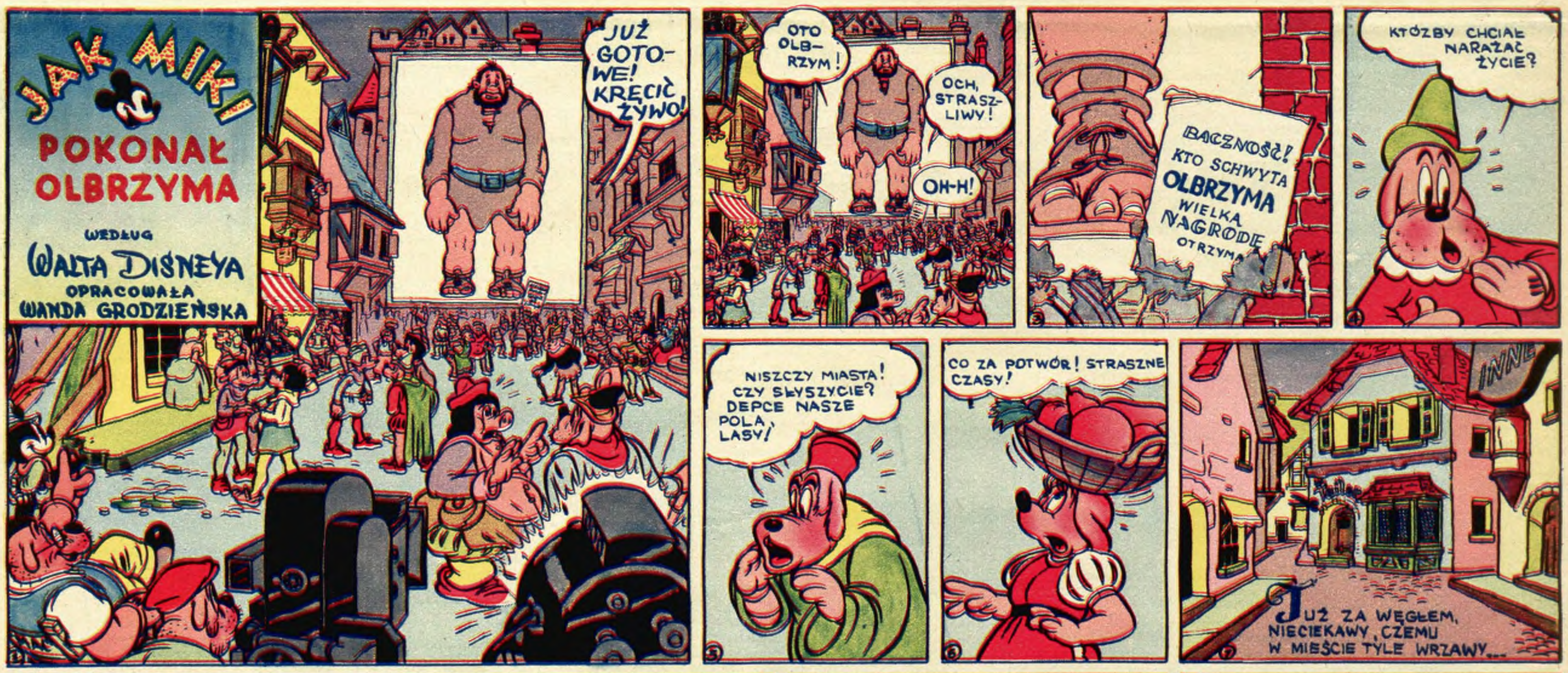


DOBRE ROZWIĄZANIA Z NR-u 1 NADESŁALI: Władysław Bobotek z Żoliborza w Warszawie, **Maciuś Hübner** z Warszawy, **Andrzej Strzyżowski** z Chełmży, **Zbyszek Franiek, Lech Stefański, Janek Bruner, Ryszard Bajemkiewicz, Dodek Silberstein i Hania Nurfluss** z Warszawy.

REBUS







Wydawca: Wydawnictwo »Gazetka Miki« — Sp. z o. o.
Redaktor: Aleksandra Bończa-Waśniewska.
Redakcja i administracja: Warszawa, Jasna 18/20 m. 17. Tel. 529-64. Konto P. K. O.: 3666.
Redakcja czynna codziennie od g. 12—13. Administracja czynna od 10—19.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1·50 zł wraz z przesyłką, cena pojed. numeru 40 gr. — Do nabycia w księgarniach i w kioskach »Ruchu«. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.